

Dziecię Symchy



FELIKS BRODOWSKI

Dziecię Symchy¹

Nie żałuję — raczej cieszę się, iż umarła.

Niestety, nie wiem co stało się sercu memu, które dawniej znało tylko ukochanie życia. — A dziś cieszy je śmierć, może je cieszyć skuwająca białe nożeta nieruchomość kamienna. Czyliż sprawia to myśl, że czyste stopy nie dotkną ziemi, dla której dość kilku kropli dżdżu, by powstało błoto?

I

Była to mała, głucha stacyjka, — ką, mimo niedalekie wielkiego miasta sąsiedztwo, zabity deskami, — dziura, do której przez większą część roku nikt zajrzećby nie chciał, chyba z przymusu, lub za karę. Dobrowolnie, a może chętnie nawet, zagładano tu w ciągu paru letnich miesięcy.

Od października poczynając — zupełne pustkowie. Widziało się w pobliżu stacyi domostwa pozamykane szczelnie, z zaryglowanymi okiennicami, ale nie widziało się dostępu do nich przez szeroko rozlane, czarne lub zielonkawe kałuże, a później przez zaspy śniegu. Sklepy zamknięte, wszędzie cisza. Gdyby nie karczma, koło której zatrzyma się czasem furmanka, a wewnątrz napotkać można paru włościan z sąsiednich wiosek lub robotnika kolejowego, — wszystko to miałyby pozór miasteczka śpiącego nawet w dzień, lub wymarłego. Opasywał je lasek z młodych, cienkich a wybujałych sosenek.

W zimie nawet pociągi, przebiegające tędy, nie miały mocy ożywiania pustki — o ile nie brać w rachubę ukazania się na peronie posługacza, który uderzał w dzwon stacyjny — i szuby baranej z kołnierzem szopowym, szczelnie opiętej z przodu, a z wierzchu nakrytej czerwoną czapką zawiadowcy. Ruchom tej szuby brak było żywości i dla wykonania ich mógł wystarczyć nieskomplikowany, umieszczony wewnątrz niej mechanizm. Robotnik zaś, co do którego nie zachodziła wątpliwość, iż jest żywą istotą, miewał w chwili nadejścia pociągu niezadowoloną minę człowieka, o bezużyteczności zabiegów swych przeświadczonego. Jakoż w istocie dźwięki dzwonu nie sprowadzały na stację nikogo, tylko rozchodząc się po wagonach i wpadając do uszu podróżnych, budziły w tych, którym chciało się wyglądać z okien, pytanie:

— Po jakie лихо zatrzymujemy się w miejscu, gdzie nikt nie wysiada i skąd nikt wsiąść nie może, bo wszystkiego jest tu dwu ludzi, którzy nie mogą opuścić swych stanowisk.

Złośliwi dodawali, że właściwie jest jeden tylko niezaprzeczenie żywy, bo co się tyczy szuby, to dopiero po sprawdzeniu jej zawartości możnaby orzec coś stanowczego.

Tak więc — pociągi nie ożywiały zimowej głuszy. Tchnące gorączką, kipiące energią i pośpiechem w łączeniu ze sobą wielkich środowisk życia, stanowiły one zbyt wielkie przeciwieństwo z rozpostartą tu ciszą, snem, nudą.

Ile razy przemknął taki wóz życia i umilkły głuche, toczące się po polanach i uderzające o ścianę lasu odgłosy huku kół, w pustkę tych miejsc natychmiast zapadały dziwne przenikliwe akcenty smutku, i zmieszane z cichym skowytym wiatru kołatały do niezamieszkałych domostw i zaryglowanych okiennic, wołając:

— Czemu tu niema ludzi, czemu niema ich trosk i radości?

W czerwcu, lipcu — przybliżał się w te strony cień życia, kolportowany przez kilkudziesięciu mieszczuchów. Oczywiście był to cień tego odrębnego życia, jakie pojawia

¹*Dziecię Symchy* — utwór został opublikowany w zbiorze *Z jednego strumienia: szesnaście nowel przez dziesięciu autorów z przedmową Elizy Orzeszkowej*. Przedmowa autorstwa Elizy Orzeszkowej dostępna jest w bibliotece Wolne Lektury — Red. WL. [przypis edytorski]

się w miejscowościach letniczych. Tchnie ono tymczasowością, czemś sztucznym, czemś co mówi o nietrwałości związku pomiędzy ludźmi i miejscem, o tem, że ludzie nie zostawiają tu cząstek swych serc, że ani ich poważne sprawy życiowe, ani uczucia nie zapuszczają tu nigdy korzeni.

Taki stosunek miejsca do ludzi daje się poprostu wyczuwać nawet u rzeczy martwych i milczących. Już same te domy tutejsze, a właściwie baraki drewniane w niewybrednym smaku, wewnątrz tak niegościnnie i nieswojo wyglądające z nagością ścian i swemi śmiesznymi meblami, zdaje się, iż spoglądają na nas obojętnie, a nawet niezyczliwie.

— Wiemy, wiemy, jak to jest na świecie. Oto trzy ćwierci roku siedzimy same; pies nawet w pobliżu nie zaszczeka. Teraz wpadli jacyś ludzie, niewiadomo skąd i poco. Oni nie mają dla nas najmniejszej życzliwości, wyśmiewają się, porównują ze swemi wygodnemi i zacisznemi mieszkaniem w miastach. Za pierwszym podmuchem jesieni umkną bez dobrego słowa, bez żalu, wołając urągliwie: Byle prędzej wydostać się z tej dziury!

Rzeczom niekochanym niepodobna jest przywiązywać się do ludzi, gdy naodwrot, te, które kochamy, potrafią (niesłusznie miano martwych im dajemy) tysiącami sposobami okazać nam swoją miłość, swoją o nas pamięć. Radzę wam wziąć to pod uwagę, byście mogli, gdy ludzie miłość waszą poranią, zwrócić ją ku rzeczom. Zawierzcie mi, iż domy i sprzęty, nie mówiąc już o drzewach i kwiatach waszego ogrodu, zdolne są ukochać was tkliwie i wiernie.

Przed kilkunastu laty, N., jako miejscowość letnicza, miało dobre swe chwile. Sprzyjało mu jakiś czas powodzenie, moda. Dobijano się o mieszkania. Lasek tutejszy, posiadający ubogą roślinność i pozbawiony ptactwa, roił się zato od pięknych kobiet. Na zasłanej opadłym igliwem murawie wypoczywały liczne towarzystwa, pstrzyły się w różnej porze dnia eleganckie galganki, batysty i zefiry, wykwiłtne bluzki, szlafroczyki, spódniczki, pełne letniej jasności. Fałą przelewała się kokieteria kobieca, zastosowana do tła i swobody lasu. Było gwaro, grywała muzyka.

Trwało to niedługo. Znalaziono miejsca nierównie powabniejsze od tej niziny, mającej za cały swój strój przetrzebioną sośninę, i nudne, rzadkiem, wątlę żytem okryte pola.

Teraz przybywa tu na lato kilkanaście mniej zamożnych rodzin żydowskich i niekiedy jaki emeryt.

II

Nie wiem czy mogła dochować swą dawną postać ta chałupa w niedalekiej od N. wioszczynie, gdzie przed kilku laty czas jakiś zamieszkiwałem.

Od futryn poczynając i belkowania pułapu do podłogi — już wtedy wszystko w niej zbutwiało było, popaczone; wszystko rozlażiło się w różne strony, zewsząd sypało się próchno. Nakryta wysoką, zczerniałą i rdzawym mchem porośniętą strzechą, koniecznie nasunąć ona musiała każdemu porównanie do wielkiego, starego grzyba, trochę pokrzywionego na jednej nodze, zmurszałej w środku.

Przed domem, od strony drogi, był mały ogródek, bez jednego kwiatka, nawet bez murawy i chwastów, ot — szara, zaledwie obmieciona z zeszlórcznych liści ziemia. Nagość swoją, oraz liczne ślady kurzych łapek, pomieszane z tropami psów, kryła ona w cieniu zbyt gęsto natłoczonych na małej przestrzeni drzewek.

Dziwaczne towarzystwo! Wybujale, dzikie jabłunki, nierodzące drzewa śliwkowe; brzydkie bzy, jedne nazbyt rozrośnięte wszere — inne zbyt a bez wdzięku pchające się w górę, wytwarzały bezładną płataninę z kilkoma wiśniami, młodem akacyami i krzakami porzeczek. Dla powiększenia chaosu była tu jeszcze lipa i jesion, a od drogi rząd starych brzoź. Co najgorsze, iż płatanina ta zgoła nie miała wdzięku. Bywają ogródki zupełnie zaniedbane, objęte zdziczeniem, lecz mające duży, swoisty powab. Nad tym zaś mimowoli trzeba było westchnąć.

Wszystko tu wyglądało na jakieś kaleki, nosiło ślady oblamywań, było oskubane, krzywe, źle rosnące, pokurczone, lub wybujale nakształt cienkich, śmiesznych tyczek, u góry nieco liści, niby zatknięty wiecheć, mających. — Drzewka tę minę miały złą, uskarżającą się lub chorą. Takie sprawiały wrażenie jakby za łby się brały w wiecznej z sobą zwadzie i jakby już zdążyły powydzierać sobie całemi garściami listowie.

— Wokoło jest tyle nagiej przestrzeni, bez jednego drzewka, — słyszałeś ich uzalania — a nam nie kazano wychodzić za to ogrodzenie, obejmujące śmiesznie mało miejsca, tyle — ile by ocieniła jedna lipa, gdyby swobodnie się rozrastała. W tych warunkach każdego dyabli biorą i pchają do kłótni.

Miały słuszność.

Naprzykład, jesion z pniem prostym i koroną dość ładnie układającą się, — inaczej umieszczony — byłby pięknym drzewem. Rósł zaś tak blisko domu i jakiejś jabłoni, iż gdy niektórym gałęziom w rozstaniu się przeszkadzała strzecha — inne mogły same być w błędzie, do jakiego drzewa należą; wierzchołek zaś wędził się w dymie z komina i sechł.

Ludzie tworzyli tu zgodny zespół z tym, co było w ich posiadaniu.

Niechby czarodziejska moc przyoblekła kilka różnego wieku drzew z tego ogródka w kształty człowiecze — bezwątpienia otrzymalibyśmy wtedy gromadkę istot niezwykle podobnych do rodziny gospodarza, który mi odnajmował stancję.

Tylko zamiast dziwacznie wygiętych w ciasnocie pni i pokurczonych konarów, widzielibyśmy plecy zgarbione, ramiona opuszczone ku dołowi, głowę zwieszoną na piersi.

Dziwne, nierównie dziwniejsze od drzewa, uciskanego przez swe sąsiedztwo, sprawia wrażenie człowiek niestary, krzepki, zdrowy, który nie może sprostować karku i utrzymać głowy tak, by mózg swobodnie, bez dziwacznych wykrzywień kręgosłupa, patrzeć — naprzykład na błękit nieba, lub zasnuwające je chmury.

Smutne, dużo smutniejsze od zastygłych w zniechęceniu gościów karłowatych drzewek, sprawiają wrażenie zdrowe ramiona ludzkie, opadające, jakby pociągane ku ziemi, i oczy zbyt rzadko odrywające się od ścieżki, po której stąpają nogi.

Nie mniemam jednak, by gospodarz mój i jego żona mieli być ponurymi ludźmi; tylko — podobnie jak żadne z drzew ich ogródka nie może przybrać pozoru wesela i swobody, jaki mają drzewa parkowe, — i oni poprostu nie mogą wydobyć z siebie wesołości. — Żywiol ten jednak nie był im obcy, tkwił w nich ukryty i nierozwinięty, budzony do życia jednym tylko niezdrowym, zjadliwym środkiem — wódką. Oczywiście, skoro wesołość, ożywienie i jakieś szybsze tętno myśli mogło być wydobyte za pomocą tak lichego środka, to czemuż tego samego nie miałyby dokonać inne — szlachetniejszej natury.

Tak, lecz człowiek bierze to, co ma pod ręką, nie to, co jest za górami i morzem. Wódka jest pod ręką, a książka, wrażenia estetyczne — za górami.

Uważałem, że po każdym święcie i niedzieli ramiona tych ludzi zwisają z większym zniechęceniem, a oczy uporczywiej świdrują ziemię.

Trudno było mieć jakąkolwiek wątpliwość co do tego, iż myśli ich trzymają się, również jak oczy, wciąż jednej ścieżki, niesłychanie wąskiej i okręcającej się w kółko, a duch uderza z każdej strony o zamknięcie swej ciasnej skorupy, której bez pomocy z zewnątrz sam przebić nie może. To zaś jego daremne tłuczenie się i szamotanie odnosi tylko ten skutek, że skorupa dziwacznie się wygina i wykrzywia, przybierając odstręczający pozór.

Takie drzewa, tacy ludzie.

W jednych i drugich tkwił głęboki smutek nieświadomionej niewoli. Od jednych i drugich daremniebyś próbował wydobyć słowa związane z treścią ich bólu, lecz bezwiednie wypowiadali je — pierwsze w mimowoli przybranych kształtach i zastygłych gestach, drudzy — cieniem swych oczu, ociężałością chodu, brzmieniem mowy.

Było tu jeszcze stworzenie, przejęte do głębi tym samym, najcięższym ze wszystkich — smutkiem z braku swobody.

Pies — uwiązany dniem i nocą.

Czy gdy szarpał swoim łańcuchem, czy gdy próżnych zaniechawszy wysiłków i miotania się przysiadł na śmietniku koło budy, wkładał on w swe szczekanie naprzemian rozpacz i tęsknotę, wściekłość i zazdrość, a na ostatku — płacz. Istny płacz niemocy. On jeden wypowiadał swój smutek bezpośrednio okrzykiem i skargą.

Pies na uwięzi łańcucha, drzewa na uwięzi ciasnej przestrzeni, ludzie na uwięzi ciemnoty.

Dziwne — iż takie rzeczy znajdziesz, nie szukając. Rzuć kamień na chybił trafił, odpowie ci odgłos jego upadku, rzuć myśl gdzieś, odpowie ci jęk czyjś bólu.

III

Oczywiście, zwrotki piosnki, którą dnie, uchodząc, wydzwaniały mi w tej wioszczynie, nie mogły budzić zajęcia, podobnego temu, jakie budzą np. kuplety w operetce. Nie zupełnie jednak zgodziłbym się na nazwę „prostej” dla tej piosnki.

Prostem często nazywamy to, nad czym nie chce się nam myśleć. Prawda? Ileż razy, wcale nie odgadłszy jakiejś zagadki mówimy: „To takie proste, dziecinne” — byle tylko nie dać poznać, ile czasu zabrałby nam namysł. Wogóle tym sposobem bronimy się od zgłębiania rzeczy, w których domyślać się należy złożoności wielkiej, a niemiłej, może nudnej, a może — cogorsza — takiej, iż z jej rozwikłaniem odniosłoby uszczerbek nasze interesy, zeszczuplałaby sfera naszych przyjemności. „Lepiej nie poruszać licha” — myślimy, a na głos odpieramy niebezpieczną pokusę słowami: „To takie zwyczajne, znane, codzienne; to było — jest i będzie”.

Piosnka, która zawiera treść ranków, dni, wieczorów i nocy, uchodzących w wiosce pod N., nie jest ubogą w słowa, przeciwnieobfitującą dla tych, co słuchać chcą. Którzy słuchać nie chcą, zbywają ją krótko: nudna.

Prawdą jest, że krtań, ubierająca ją w dźwięki, jest nieuczona. Śpiewacza krtań przyrody, chłopów, zwierząt, drzew, ziemi i powietrza — lubi powtarzać jedne i te same dźwięki, jak wszyscy nieuczenni śpiewacy. Stąd jednostajność tego śpiewania nieco smutna, chociaż nigdy nie tak zabójczo smutna, jak jednostajność piosnki suteryn, zaułków, nor i poddaszy, gdzie głos roztrąca się wśród kamieni i cegieł.

Przyroda jest wielką, jest otchłanną, jest macierzą. Ona chce i umie wyssać najzdliwszy smutek, który odczuwają jej cząstki. Gdzież podzięją go ci, kogo otacza kamień, którym całą ich macierz zasłania kamień! On jest macierzy tej częścią najmniej czułą (choć bynajmniej nie martwą), najbardziej zasępioną; z niego powstają więzienia i miasta.

Więc pieśń, której echo nie tłucze się wśród kamieni, już nie jest samym smutkiem, samą szarzyzną, ani samą jednostajnością.

Gdy wahadło życia nędzarza porusza się między murami miejskimi, udziałem jego staje się dziwna samotność, w której — rzekłbyś — iż tylko szmer, wytwarzany ruchami tysięcy innych wahadeł i zgrzyt od ich wzajemnych potrąceń słyhać. Przeniesione na wieś, bezwiednie oplątuje się ono niemi istnień postronnych, drobnych bytów, lubiących kojarzyć się z bytem człowieka, wlecze je za sobą i czasem — dzięki im — w żalosej bezcelowości swych poruszeń natrafia na jakiś, chociaż nikły, cel.

Zawsze z piersi stworzeń posmutniałych przyroda część troski wykrada — (może — by cień jej rzucić w przeźrocza dusz zbyt szczęśliwych).

Powtarzałem to sobie przed laty kilku w N.... patrząc na pewną istotę, młodą dziewczynę, której życie wydawało mi się ogołoconem ze wszelkich radości.

IV

Była to żydówka lat szesnastu lub siedmnastu.

Razem z swoją matką, leciwą kobietą, trudniła się ona roznoszeniem pieczywa po samem N... i paru okolicznych wioskach, w których prócz miejscowych włościan przemieszkiwali robotnicy z sąsiedniej cegielni i jakiejś fabryki podmiejskiej.

Jedno z tych stworzeń boskich, które można widzieć codzien — a nigdy nie zauważyć.

Przekonany jestem, że mnóstwo ludzi, codzien bułki z jej koszyka wybierających, nie znało dobrze ani brzmienia jej głosu, ani rysów twarzy. Spotkawszy ją bez koszyka, inaczej ubraną, nie w codziennej, wyblakłej, zbrudzonej i obszarpanej u dołu spódnicy, a zwłaszcza bez tej czarnej, włóczkowej chustki, którą obwiązywała sobie głowę, wielu nie wiedziałoby, iż mija swoją roznosicielkę chleba.

Znano ją, jak się zna rzecz jaką. Każdy rozumie, iż koszyk z bułkami sam nie będzie latał od domu do domu. Trzeba się z tem zgodzić, iż ktoś musi go nieść. Szczerze mówiąc jednak, zajmowała ludzi tylko zawartość koszyka.

Byli stali odbiorcy pieczywa, którzy nie wiedzieli nawet, jak zowią się matka i córka. Żydówki. Żydówka stara, żydówka młoda. „Nie piekłam wczoraj chleba, muszę go wziąć od żydówki” — mówiono; albo: „Nie widzieliście tam gdzie żydówek z chlebem?”

Gdy którego dnia nie chodziły razem po wsi, lecz z osobna, zadawano sobie potem pytania:

— Od której żydówki braliście dziś chleb?

— Od młodej — nie, od starej. Ale nie, napewno od młodej. Zresztą, to już dobrze nie wiem.

Wprawdzie nosiły się zupełnie jednakowo ubrane, ale, oczywiście, przy drobnym napięciu uwagi wątpliwość taka byłaby niemożliwą; jeśli więc zdarzała się, dowodzi to, jak dalece osoby roznosicielki były ludziom obojętne.

A jednak uwaga ludzka pochwytywać może bardzo drobne rzeczy. Mieszkając w owej chałupie, nauczyłem się rozpoznawać z pośród kilkunastu uwijających się dokoła niej jaskółek dwie mieszkanki gniazodka, w którym było sześcioro małych. Z mnóstwa napływających przez okno głosów nauczyłem się rozróżniać zgodne dzwonienie słabiutkich głosików — jakby kto potrząsał szklanymi paciorkami — ilekroć jedna z tych jaskółek zajrzała do gniazodka. Przekonałem się również, że leżąc na ziemi, zainteresować się można bytem kilku ździebeł trawy i uwijających się wśród nich owadów. Nie mogę więc przypisywać sobie nadzwyczajnej jakiejś bystrości uwagi z racji tej, że zauważyłem dwie istoty ludzkie, codziennie napotykanne.

Ponieważ nie obchodzi mnie wiele kształt bochenka, ani jego waga, ani to czy skórka na chlebie przyrumieniona jest, czy blade, z większą zatem bacnością mogłem przyjrzeć się chleba tego roznosicielkom.

V

— Pieczywo z miasta — bułki, chleb! — weźmie pan?

Za oknem stały dwie kobiety, każda z dużym koszem na ręku.

Pomimo, iż to był dzień ciepły, czerwcowy, głowy ich były pookręcane grubemi, włóczkowemi chusteczkami, jak u ludzi w najwyższym stopniu cierpiących na zęby. Z nieosłoniętych tem czarnem obwinieciem otworów, pełnych cienia, wyglądały tylko oczy z częścią czoła i nosem.

Jedna ich para miała białka zaczerwienione siecią żyłek, mętność w piwnej barwie tęczówki i mętność w samym wejrzeniu, podkowę pod każdym okiem głęboko odcisniętą w naskórku wzdętym jakby od żaru i zrumienionym, miała z kątów ocz rozsypujące się w niezliczonym mnóstwie drobnych fałdek łapki kurze, a wreszcie — powieki ociężałe, zwiedłe, które mrugały ustawicznie, może dla odpędzenia osiadającej w oczach bezmyślności.

Druga para oczu miała urok.

Jestto coś, co uderza o wrażliwość naszą wpierw, zanim rozpatrzmy się w cechach szczególnych, co sprawia, iż mówimy — ładne, nie ustaliwszy jeszcze dokładnie barwy tęczówki, co przeszkadza w badaniu, utrudnia egzamin tak łatwy, gdy idzie o wyblakłe oczy starej kobiety lub choćby młode, lecz nie mające uroku.

Rozmaity on bywa. Ten urok był bardzo miękki, bardzo czuły, czułością, w której z kobiety było cośkolwiek a z dziecka dużo — cała jego nieśmiałość i cała czysta, lękliwa chęć przypodobania się. Dobre, bardzo czułe a nieśmiałe dziecko było w tych oczach i to właśnie najpierw spostrzegłem, a następnie dopiero wspaniała czerń wielkich tęczówek, błękitny cień nasycający białka, piękność długich rzęs.

Parę kobiet wiejskich podeszło do koszyków.

— Świeży chleb, świeże bułki! — zachwalała dziewczyna.

Po skończonym targu żydówki oddaliły się.

Patrzałem za nimi, gdy szły drogą, wzdłuż blade-żółtej, przesianej słonecznymi polyskami ścianki, którą tworzyło dojrzewające, wysokie żyto.

Żałośnie niepowabne sylwetki! Szare, nędzne kaftany; szare nędzne spódnice; te głowy czarno spowinięte; postaci, jak przelamane! Ciężar kosza na prawej ręce zniewala je do przechylania tułowiu na lewo i wyciągnięcia lewej ręki. Bose, stąpały z wysiłkiem, piętami zaorywając po piasku. Znikły mi na między, którą udały się zapewne dla skrócenia drogi do drugiego końca wsi.

Odtąd widywałem je codziennie, a czasem zachodziłem z nimi w rozmowę.

VI

— Ależ mnie wcale zęby nie bolą!

Rozśmieszyło ją moje posądzenie, iż cierpi na fluksyę.

— Pan myślał, że mam twarz spuchniętą.

Zesunąwszy chusteczkę niżej podbródka, odsłoniła swe szczupłe policzki. Była to twarzyczka dziewczęcia wątłego, powabna, ale nie mająca jędrności i świeżej cery zdrowia; wyglądałaby mizerniej, gdyby nie odrobina złoćistości na policzkach i czole. Opalić się w turbanie swoim nie mogła; jednak musiało słońce zaglądać do nieosłoniętego otworu, bo bladeść jej leciutko cieniem złotawym przysłoniło.

Za to ust dziewczynki — małych i ładnie narysowanych, żaden pędzel różem nie powlókł; mówiły one zbyt wyraźnie o niedostatku krwi.

— Brzydtko w tej chustce wyglądam — wiem o tem — ciągnęła z milutkiem zawstyżeniem. I zawsze mnie ludzie częstują lekarstwem na zęby.

— Więc pocóż umyślnie się szpecić?

— Tak, z przyzwyczajenia. Czy ja wiem zresztą. Mama toby panu wytłómaczyła.

Zwróciłem się z zapytaniem do starej, ale ta za całą odpowiedź tylko szybciej mrugać zaczęła, ukrywając w oczach wyraz zakłopotania i nieśmiałości, która mnie zawsze wydaje się wzruszającą u ludzi wiekowych.

Nie nalegałem.

Później przyszło to jakoś samo z siebie, iż Symchowa nieraz dość chętnie, bez wypytywań, opowiadała mi coś o sobie i córce, o „naszej biedzie”.

Mówić: „ach, ta nasza bieda” — było jej przysłowiem.

VII

„Nasza bieda” w postaci dotkliwej zaczęła się — pojąć to łatwo — z chwilą, gdy Symcha wozem czarnym odwieziony został na kirkut.

Był to człowiek bardzo umęczony niepowodzeniem w handlu sklepiarskim i jakąś przewlekłą chorobą; tak „delikatny” — według słów wdowy — i tak na ostatku już zwątlony niezdrociem, że chodząc stąpał z nadzwyczajną ostrożnością, jakby w swem wnętrzu nosił niezmiernie kruche a szacowne naczynie. Ostatecznie musiało ono pomimo całej troskliwości uleść stłuczeniu, co tak zmartwiło Symchę, iż umarł. Sądzę, że nie mógł nawet inaczej uczynić, ponieważ to jego drogie naczynie zapewne nie było czem innym, jak właśnie naczyniem życia.

Po utracie męża został Symchowej jej własny, cały i nienaruszony dzban zdrowia. Co prawda — za cały majątek, dodawała z westchnieniem. W córeczce jej zaś tkwiło (smutna po ojcu spuścizna) naczynko bardzo delikatne, bardzo kruche, może szklane lub kryształowe, z drogiego kryształu, jak u Symchy, wymagające nadzwyczajnej uwagi, opieki i troskliwości, żeby się nie stłukło.

Symchowej nie potrzeba było napędzać do czuwania nad małą i jej zdrowiem. „Mój skarb jedyny”. To słowo wszystko tłómaczy — czyż trzeba kogoś uczyć, by dbał o swój skarb jedyny? Nie. Lecz niemniej przyznać należy — co nawet sam Symcha przykładem swym stwierdził — iż troskliwość ludzka niepoparta pieniędzmi, które dają możność zaspakajania potrzeb wątłego dziecka, lub chorowitego starca, tyle im bywa pomocną, co chuchanie na ranę. Symcha chuchał, dmuchał na siebie, na swoje zdrowie, stąpał bardzo ostrożnie; cóż z tego — kiedy jednocześnie mało jadał, mało pijał mleka, krótko mógł wypoczywać — i naczynie stłukło się. Nicby nie było dziwnego, gdyby — pomimo całej matczynej troskliwości — to samo nastąpiło z kryształową konchą, w której trzepotał się duch życia jej dziecka, duch tak skory do odlotu.

Czemuż więc przypisać, że dziewczeczka nie umarła pomimo ciągłego pisku i dokuczania biedy?

Jeśli nie zabiegiem stworzenia śmiertelnego, jakim jeszcze była Symchowa, to chyba — istoty nieśmiertelnej, jaką już wtedy był Symcha. Napewno — jego zabiegiem. Tylko istota, która przeszła już przez śmierć, pokonała ją niejako a przynajmniej wyrwała z jej zębów najlepszy kęs swej istności i wyniosła go ponad ziemię, — tylko ona może skutecznie poprzeć sprawę jakiejś nędznej drobiny ziemskiej. A z pośród wiecznie żyjących

jeden Symcha mógł w tym razie coś zdziałać, bo któżby obcy zechciał się troszczyć o los jego córeczki na ziemi.

To Symcha wstawiał się, Symcha przemawiał za nią. Może nie do samego Jehowy, może do najniższego z jego sług — ale to on przemawiał i z dobrym skutkiem.

Musiał jednak przeżyć ciężką chwilę, lękliwy Symcha! Żona jego, myśląc o tem, uprzytomnia sobie doskonale to wielkie kołatanie serca, to bolesne zaciśnięcie gardła i olśnienie w oczach, jakiego doznawać musiał — inaczej być nie mogło — Symcha, gdy przemówić miał do najniższego z sług Jehowy. Ale szło o dziecko, więc zwyciężył strach, właściwy osobom delikatnego zdrowia, i przemówił.

W miarę zaś jak pozbywał się bojaźni (— i to uprzytomnia sobie Symchowa), głos jego, do służki Jehowego zwrócony, stawał się pełny brzmień tkliwych, do głębi przejmujących, pełny błagania pokornego i zakłęcz, aż wreszcie przeszedł w ton uroczysty i poważny.

Dreszcz od stóp do głów wstrząsa Symchową na myśl, jak uroczystym i wzruszającym musiał być głos jej męża, gdy mówił:

— Panie, — oto wstawiam się za moją córeczką, na którą czyha bieda, choroba i śmierć.

VIII

Był więc Symcha i po śmierci użytecznym swej rodzinie. A swoją drogą wdowa, cokolwiek zdziałać mogła sama bez duchowego poparcia nieśmiertelnego Symchy, tego nie zaniedbywała. Mało jednak dobrego, mało przyjemności świadczyć mogła dziecinie. Ot — tyle, że oszczędzała jej siły.

Do jedenastu lat nie wolno było Esterce ani tknąć się pracy, jakiegokolwiek ciężaru, jakiej posługi.

— Ja ciebie proszę — nic nie rób, tylko żyj. Tem zrobisz mi największą łaskę — mawiała, gdy dziecko, znudzone bezczynnością i leżeniem, chciało dla rozrywki pomódz jej u komina, przy gotowaniu strawy, lub nieść za matką koszyk.

W myśli dodawała:

— Symcha miał tam niemało kłopotu, zanim wyprosił, wyjęczał o trochę zdrowia dla tego mizeractwa.

Rozleniwiona pieścizotami matki, wracała dziewczyna ulegle pomiędzy bety, rozrzucone na łóżku, które nigdy nie było zaściewanem, by ona, kiedy zechce, mogła wsunąć się pod pierzynę.

Rychło jednak Esterka, odczuwając doskonale — jak każda pieścizotka — samowładztwo panowania swojego, poczęła okazywać wolę na przekór zarządzeniom matki. Ale, dobrem będąc dzieckiem, nie używała przywilejów swych na złe. Raczej przeciwnie.

— Do czego to podobne, żeby taka duża dziewczyna, jak ja, nic nie pomagała matce. Rosnę na pośmiewisko ludzkie, a czy to potem będzie się chciał kto ze mną ożenić, skoro wszyscy się dowiedzą, że jestem do niczego. Ja mamę przekonam, że koszyk pełny chleba zaniosę od naszego mieszkania do cegielni — i nic mi nie będzie.

— Nie rób tego, moja Ester, ja cię bardzo proszę.

— Właśnie, że zrobię — odparła, gniewne matce rzucając spojrzenie, i chwyciła za pałąk kosza.

Symchowa nie chciała jej drażnić. Nie można drażnić wątych dzieci, należy pamiętać, że to są kruche, kryształowe naczynia, ulegające stłuczeniu, przechowujące się w całości tylko dzięki wstawiennictwu nadziemskich istot. Nic więc już nie mówiąc, ujęła coperdziej kilka bochenków z kosza, aby uczynić go lżejszym.

Do cegielni nie było zbyt daleko. Dziewczynka doniosła tam ciężar, wyprzedziwszy nawet matkę i bardzo zręcznie ukryła swe zadyszanie, oraz ten szczegół, że na ostatku koszyk wysunął się z jej rąk, w których czuła wielki ból.

— Ot, cała parada, cała wielka sztuka — zawołała, powstrzymując z największym wysiłkiem łzy. — Chce mama, to jeszcze dalej zaniosę?

Symchowa, naturalnie, ani słyszeć o tem nie chciała. W następstwie zaś kupiła mniejszy koszyk dla Esterki i brała ją z sobą do roznoszenia bułek tylko w obrębie samego N... odsyłała zaś dziewczynkę do domu z chwilą, gdy sama miała iść dalej, po wsiach. Co prawda i ów mniejszy koszyk nieraz wyciskał małej łzy, ale nikt ich nigdy nie dostrzegł.

Minęło parę lat. Córka Symchy wyemancypowała się zupełnie, to znaczy — że szła wszędzie, gdzie matka, do krańca ostatniej wioski, gdzie tylko kupowano od nich chleb — że koszyk jej nie był mniejszy, niż matczyny, i że to ona teraz ukradkiem z koszyka matki do swego przekładała parę bochenków, by ulżyć starej.

IX

Zbyt wiele dobrych stron miał ten nowy układ rzeczy, by Symchowa miała sarkać.

Przedewszystkiem cieszył ją widok dziewczęcia, mogącego podolać ciężarowi kosza z chlebem. Takie było cherlawe dziecko — i oto patrzcie, jak silna z niej pomocnica.

Dalej — ciągła obecność córki w tych wędrówkach napępiała matkę jakimś miłem, choć mało uświadomionem uczuciem cichej, wewnętrznej radości. — Dawniej, gdy szła sama od wsi do wsi, pomiędzy milczącymi polami, inne nawiedzało ją uczucie — troski, niepokoju o małą, lub tęsknoty bez określonego powodu. Przypominał się jej wtedy Symcha. Niechący poczyniała się zagłębiać w myślach o nim, próbowała wyobrazić sobie terażniejszy byt jego, np. co on robi rano, a co wieczór, lecz wyobrażenia jej natrafiała na zapory i trudności dziwne. Zniechęcona podnosiła oczy ku olbrzymiej kopule nieba, ale co prędzej opuszczała je, bardziej jeszcze przestraszona jej ogromem, milczeniem i skrytością.

Teraz nic podobnego Symchowej nie dokuczało. We dwie i to we dwie z córką — jakże to rażno, jak dobrze. Inaczej nogi człowieka niosą, a ręce przestają się skarżyć na ciężar; nie nawiedzają głowy zbyteczne myśli, odczuwa się spokój, pełny słodczy.

Latem, gdy się zmęczą, posiadają sobie na miedzy. Żyto z jednej i drugiej strony zasłania je przed całym światem; sądzą, że to jest ich własny kącik, gdzie nikt natrętny nie zajrzy. Jest w tem coś tak przyjemnego, że natychmiast ustępuje zmęczenie. Esterka podnosi się, zapomina o koszyku i, ostrożnie rozgarniając źdźbła żyta, wyszukuje bławatków.

Czy czuje wtedy, iż każdy jej ruch pieszczony jest i całowany spojrzeniem tych oczu, które pod mrugającymi ustawicznie powiekami, zdaje się, iż ukrywają tylko bezmyślność? Symchowa w istocie mało myśli, mało rozważa i rada jest temu, gdy nic nie nastęcza powodu do rozmyślań, z których zazwyczaj nic miłego nie wynika. Ale zato całą swą istotą odczuwa słodczy takiej chwili, a nadto wielką dla kogoś wdzięczność.

Cośkolwiek przytem myśli.

Oto powtarza sobie:

— Moje dziecko żyje — jest zdrowe i zbiera bławatki.

X

Prócz odrobiny zdrowia (tyle co na codzienną potrzebę — mawiała Symchowa), wyjednał pocziwy Symcha — może za jednym zachodem — nieco też urody dla swojej dziewczki.

— Czyś ty dobrze zrobił, Symcha, żeś o to prosił?

Takie pytanie żona jego próbowała mu przesłać z ziemi.

Nie dręczyłaby jej wątpliwość i samaby sobie odpowiedziała: „Doskonale zrobił mój mądry i zacny mąż” — gdyby układ ziemskich rzeczy obdarzył Symchową wyłącznym prawem napawania się urodą Esterki, przynajmniej do jakiegoś czasu. Niechby potem prawo to przeszło na męczyznę — daj Boże, dobrego i bogatego — któryby Esterkę poślubił. Ale mrzonką jest taki układ: niepodobna wszystkim ludziom oczu zawiązać — to jedno, a drugie — iż dobrzy i bogaci nie zbyt są skorzy do żenienia się z ubogimi dziewczętami, roznoszącymi chleb.

A jednak jakie ładne bywają między niemi.

Gdy o świcie bladym, białawym, Esterka wstawała pierwsza, matce nie dając jeszcze opuścić łóżka, gdy na jego skraju siadała (tylko oczy matki znały tę chwilę) w samej koszulce, niezbyt zazdrosnej o jej szyjkę, ramiona, ręce i nóżki, czuła Symchowa, iż od jej dziecka bije świeżość pachnąca, świeżość młodych lat i niewinnego ciała, świeżość, jaką mają tylko co zerwane bławatki, lub zazielenione pole, pąki topolowe lub młode pędy w sosnowym lesie.

A kiedy upięło jej dziecko swe czarne sploty na główce kształtnej a niewielkiej i zwróciło do matki swą twarz, której białość zaledwie owiana była złocistym na policzkach przyćmieniem, mogły oczy Symchowej ile chcieć mrugać — nie odpędziłyby myśli:

— Śliczne jest moje dziecko.

Cóż kiedy śladem tej myśli leciał zaraz podszept zjadliwej troski.

— Bardzo śliczne. Ale czy to potrzebne dziewczynie, którą świt wypędza na ścieżki leśne, na drogi wśród pól głuchych i niemownych, puste — lub co gorsze, nawiedzane przez ludzi niepewnych z podmiejskiej okolicy.

Włóczęga podmiejski, mogący w każdej chwili zamienić się w napastnika, był zawsze postrachem i zmorą Symchowej. Nie obawiała się chłopów w wioskach, nie obawiała się robotników z cegielni lub fabryki, koło której przechodziły, tylko tych postaci tak nieokreślonych, trudnych do przeniknięcia, jak ich zajęcie, osobników, zdała cuchnących wódką, ziejących wstrętными wyrazami, lubujących się w zaczepkach. Takiemu na pustkowiu pokazać młodą i ładną twarz — rzecz to zdradziecka.

Ten był powód, że udając się na codzienną swoją wędrówkę, obie — matka i córka były ubrane zawsze jednakowo (niech złe oko nie odróżni młodej od starej), że głowy miały wiecznie obwinęte chustkami, które zasłaniały im również pół twarzy. Nosiły się nędznie i szaro. Symchowa chętnieby obsypała siebie i córkę pyłem z gościńca, byle zniknąć, uczynić się niewidzialnymi na jego szarym tle.

XI

— Ja się tak bardzo nie boję — kiedyś do mnie mówiła Esterka. — Czasem sama chodzę. W piątek mamy trochę więcej domowej roboty u siebie, więc — żeby prędzej załatwić się z roznoszeniem chleba — mama idzie w jedną stronę — do Lisówki, a ja w drugą, na Czarny Borek.

— Nigdy się nic Esterce nie przytrafiło?

— Nie. Raz jeden gonił mnie jakiś pijak. Była wtedy po deszczu wielka woda na drodze — przebrnęłam na drugą stronę, a tam trafił mi się kawał cegły, który podniosłam i pogroziłam nim temu człowiekowi. Dał mi spokój. Pewnie się nie tyle zląkł kamienia, co wody.

Bardzo była zabawna i miłutka, gdy to opowiadała.

— Gdyby jednak i on zdecydował się przebrnąć kałużę, czy też Esterka ugodziłaby go tą cegłą, czy potrafiłaby się bronić?

— Ale gdzie tam, możebym od razu umarła ze strachu, albo bym prosiła, żeby mnie już prędzej zabito.

— To źle. Nigdy nie potrzeba od razu dawać za wygranę; broniąc się, można chociaż zyskać na czasie, może ktoś nadejść z pomocą.

Esterka chwilę milczała, namyślając się.

— Zapewne — rzekła potem — zresztą, czy ja wiem, gdyby naprawdę było już źle — możeby się strachu nie czuło, możebym potrafiła się bronić jak kotka zaczepiona — pazurkami i zębami. Ale Bogu dzięki nikt mnie nie zaczepia, nikt nie patrzy nawet na mnie. Myślę — ot, stara jakaś baba z zawiązaną głową.

— Jednak przykro to robić z siebie zawsze coś, niby straszdyło — wtrąciłem.

Roześmiała się wesoło.

— No, nie zawsze. W sobotę ubieram się trochę inaczej.

Jakoż, gdy wypadła mi którejś soboty potrzeba udania się na stację w N.... spotkałem tam Esterkę w jej świątecznym ubraniu.

Było to przed nadejściem pociągu, czyli w godzinie, kiedy oczekiwanie na przelotne wrażenia rozprasza chwilowo całodzienne nudy letników w N... Kto żyw ściąga wtedy ku stacyi.

Na peronie, pod werandą i w pobliskim lasku roili się czasowi mieszkańcy owych domków, tak mało okazujących wesela latem i zimą.

Przeważnie byli to współwynawcy Esterki, liczny zbiór żydowskich typów drobnomieszkańskich. Mężczyzn niewielu, kobiet i dzieci dużo. Są to żony kupców mniej zamożnych, komisantów, subjektów — które, nie mogąc pozwolić sobie na droższe letniska, ściągnęły do N... dla taniości, w towarzystwie wszystkich swych sióstr, kuzynek, ciotek i dalszych krewnych, tak potrzebnych do wspólnego spędzania czasu, a może i dla rozłożenia kosztów mieszkania na większą ilość płatników.

Dziwnie był jednostajnym typ twarzy kobiet — twarzy bardzo białych i pulchnych, z mięsistymi, wydatnymi nosami i grubemi wargami. Wolne szlafroczyki mężatek nie czyniły tajemnicy z obfitości ich ciała, z obwisłych piersi i czegoś nalanego i ociężałego w całej postaci.

Kilku dziewczętom jednak nie można było zaprzeczyć urody, mającej wybitnie zmysłowe piętno. Były ładne, świeże, ponętne z falującymi jędrnymi piersiami, biła od nich jakaś szczerota zdrowia, otwarcie wyznana przewaga ciała nad duchowością. Kibici ich — zdawało się, iż naiwnie chwalić się chcą macierzyńskim przeznaczeniem kobiety.

Śród nich Esterka w czarnej spódnicy i staniku blado-różowym, gładkim, zdaje się, jedwabnym, chwaliła się tylko wdziękiem. Ileż go w niej było! Jak trudno było dziś ją poznać, jak trudno uwierzyć, że jej powszedni, odrażający strój mógł ukrywać tak śliczne stworzenie. Wdzięk osiadł w kształcie jej główki i zgrabnem jej osadzeniu, w upięciu włosów, owalu twarzy, zaokrągleniu ramion, w zarysie piersi dziewiczych, drobnych, wstydliwie ukrywających swą kobiecość — równie jak w lekkości ruchów. Był też w naiwnem rozradowaniu oczu i półdziecięcej chęci przypodobania się, tkwiącej w uśmiechu Esterki.

Na ławce, w kącie werandy, siedziała Symbowa w odświętnym czepcu z wstążkami.

Dobra wdowo Symchy, jakże mi łatwo było odgadnąć jedyną myśl, która snuła się wtedy po twej niechętnie długich rozważań głowie.

Myślałaś wtedy:

— Albo moje oczy już nic nie warte, albo to dziecko moje jest najśliczniejsze z tych wszystkich pań i panien.

Chętnie ci przyznałem słuszność.

Nazajutrz zrana, spotkawszy Esterkę w zwykłej jej postacizarno-szarej, nędznej poczwarki, nie mogłem się powstrzymać od powiedzenia jej, jak ładnie wczoraj wyglądała i jak korzystnie dla niej wypadło porównanie z innymi paniami.

— Doprawdy? Bardzo dziękuję panu. Jeszcze tego od nikogo nie słyszała.

Biedactwo, — więc to był pierwszy komplement w jej życiu.

XII

Nie przypominam sobie, bym potem z nią rozmawiał. Nie — z pewnością, to było po raz ostatni.

Gdy ją następnie zobaczyłem — już to nie była Esterka — już to nie był słodko pachnący i śliczny kwiatek, tylko biedne, martwe ciało, skulone pośród zbielałego od dojrzałości żyta, na wąskiej miedzy i nakryte rogożą.

Zdaje mi się, iż w pobliżu był kopiec graniczny, a na nim siedział, pykając fajeczkę, człowiek stary, któremu polecono zapewne pilnować trupa do zejścia władz i lekarza.

Odchylałem rogożę. Musiałem to uczynić, pomimo całej bolesności tej chwili; musiałem pożegnać dobre dziecko Symchy. — Ah, ten ślad lzy na policzku, ziemią powalanym.

Co się stało? Nic nadzwyczajnego. Doskonale pamiętam, że to było opisane drobnym drukiem. „Na polach podmiejskiej wsi Czarne Borku znaleziono zwłoki młodej dziewczyny, żydówki, ze śladami gwałtownej śmierci. Sprawca zbrodni poszukiwany”.

Pojmano tego człowieka. Był to włóczęga podmiejski. Na bocznej i mało uczęszczanej drodze polnej — tak brzmiało jego zeznanie — napotkał żydówkę. Był pijany, zdarł z niej chustkę i zobaczył twarz młodej dziewczyny. Broniła się zajadle, ugryzła go i podrapała. Nóż wyjął po to tylko, żeby jej pogrozić; w jaki sposób nadziała się na ostrze — on nie ma pojęcia. — Sekcja wykazała, że gwałt nie miał miejsca.

Biedactwo, niema brylantów na ziemi, któreby warte były twej ostatniej łezki. Śpij. — Gdyby żal po ziemi miał być tą kołatką na odgłos której umarli obudzą się kiedyś i wstaną, — czy ty wstaniesz? Może — nie. Może mylą się ci, co twierdzą, iż zostawia się na ziemi coś godnego żalu.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dziecie-symchy>

Tekst opracowany na podstawie: Z jednego strumienia, szesnaście nowel przez dziesięciu autorów z przedmową Elizy Orzeszkowej, Skład Główny w Księgarni E. Wende i Spółka, Warszawa 1905.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Marta Niedziałkowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0108-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).